

KAREL MICHAL

STRASZYDŁA NA CO DZIEN

przełożyła Dorota Dobrew

postłowie opatrzyła Viola Fischerová



L I T E R A T U R A
na świecie

*Nagroda „Literatury na Świecie”
za przekład roku 2008
w kategorii Nowy Głos*



Wrocław 2008

KAREL MICHAL STRASZYDŁA NA CO DZIEN

ilustrował Tomáš Přidal

KAREL MICHAL
STRASZYDŁA NA CO DZIEŃ

Przełożyła **Dorota Dobrew**

Słowo o Straszylach

mówi Viola Fischerová (4'24")

Silna osobowość

czyta Krzysztof Globisz (43'32")

Jak Pryszczaka spotkało szczęście

czyta Maria Seweryn (29'25")

Martwy kot

czyta Marian Opania (54'53")

Zdarzenie nadzwyczajne

czyta Wiktor Zborowski (17'38")

Kłobuk brukarza Houski

czyta Jan Peszek (30'15")

Ballada o Poddaszniku

czyta Krzysztof Gosztyła (49'04")

Kokesz

czyta Jerzy Stuhr (36'57")

Viola Fischerová:

O straszylach i upiorach Karla Michala

czyta Maria Peszek (44'25")



Silna osobowość

– Daj pan papierosa – usłyszał księgowy Mikulaszek i cofnął się o krok. Jest to bowiem znany okrzyk bojowy nocnych dam albo też przedsiębiorczych osobników, którzy lubią zdzielić człowieka cegłówką zawiniętą w chustkę do nosa, a potem pozbawić go zegarka.

Była to zbyt duża ostrożność, gdyż tak wczesnym popołudniem nie było się czego obawiać, ale Mikulaszek obawiał się z zasady.

Natręt był stary, raczej niskiego wzrostu, miał sumiaste wąsy i był brudny, zwyczajem takich właśnie dziadków. Coś pomiędzy zbiegiem z więzienia a duchem gór Liczyrzepą. Tacy dziadkowie zawsze byli i będą. Chodzą w rozczłapanych butach i taszczą ze sobą worek z nieokreśloną zawartością. Motywy ich zachowania dotychczas pozostają niezbadane.

Księgowy z działu płac Mikulaszek sięgnął do kieszeni i podał dziadkowi papierosa. Poczł się jakoś niezręcznie, więc dał mu jeszcze jednego. Dziadek wtknął pierwszego papierosa w brodę, drugiego schował pod czapkę, powiedział „wielkie dzięki” i przypalił sobie od Mikulaszka.

– Dobry z pana człowiek – pochwalił go z wdzięcznością.

Mikulaszek odburknął coś niezbyt uprzejmie, jak zwykliśmy czynić w sytuacjach, kiedy ktoś nam schlebia. [...]



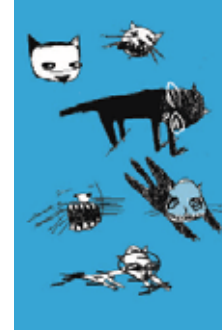
Jak Pryszczaka spotkało szczęście

Administrator Pryszczak oparł się plecami o filar krużganku i sięgnął do kieszeni po paczkę papierosów. Pierwszym trzem zapalkom drżącymi palcami tylko ułamał łebki. Dopiero z czwartej udało mu się wykrzesać ogień i zapalić papierosa, trochę krzywo. Wyszedł mu tak zwany krzywulec. Zaciągnął się kilka razy, potem doszedł do siebie na tyle, by podnieść z ziemi kapelusz i wcisnąć go na głowę, gdyż w krużgankach ciągnęło chłodem. Bardzo, bardzo wolno otrząsał się z osłupienia. Wrażenie wciąż było zbyt świeże. Nie minęły trzy minuty, jak obok niego przeszła Biała Dama. Kiedy wychodził zza rogu, zobaczył ją jakieś dziesięć metrów przed sobą. Ledwie zdążył odskoczyć na bok, przypaść do ściany i ściągnąć kapelusz.

Minęła go bez słowa, długi szal powiewał za nią, omiatając kamienne płyty, a administrator dostrzegł jeszcze jej pełen godności, uprzejmy gest, którym podziękowała mu za pozdrowienie, nim zniknęła za narożnym filarem.

To była ona. Nie ma mowy o pomyłce. Światło księżyca padało na krużganek przez arkady i całkiem wyraźnie oświetliło każdą fałdę jej szaty, pęk kluczy przy pasku i szal otulający łagodną, kredowo bladą twarz.

I właśnie ta jej łagodność i życzliwość zmusiły Pryszczaka, by machinalnie ściągnął kapelusz. Białą Damę [...]



Martwy kot

„...A teraz nie pozostaje już nic innego, tylko zadać dyrekcji zakładu pytanie, jak to się stało, że człowiek z taką przeszłością otrzymał stanowisko, które dawało mu dostęp do tak kosztownych urządzeń, jak manometry”.

Dziennikarz ziewnął z poczuciem, że poświęca się dla wspólnej sprawy. Kradzież manometrów jest czynem karygodnym. Manometr z pewnością jest kosztownym urządzeniem, inaczej nikt by się na niego nie połaszczył. Ta sprawa była dla dziennikarza jasna i cieszył się z tego, bo z drugiej strony nie miał zbyt konkretnego wyobrażenia o tym, jak właściwie wygląda manometr. Zanim przepisze to na maszynie, będzie jedenasta.

Podszedł do stołu, by opróżnić popielniczkę. Potem nagle się skulił i odskoczył w bok. Bezkształtna ciemna bryła miękko uderzyła w szybę, otworzyła na oścież niedomknięte skrzydło okna i pacnęła na tapczan.

Dziennikarz odstawił popielniczkę na miejsce, podszedł do okna i ostrożnie je zamknął. Tylko prymityw mógłby jeszcze wyjrzeć na ulicę, kiedy ktoś wrzuca mu coś do mieszkania. Dopiero potem odwrócił się i spojrział na tapczan. Kocie zwłoki leżały w nienaturalnie wykręconej pozycji na zielonym rypsie, a czarne futro błyszczało w świetle lampki jak ciepły, miękki asfalt.

Dziennikarz w skrytości ducha miał nadzieję, że kot nie pozostawał w tym stanie zbyt długo. Był [...]



Zdarzenie nadzwyczajne

Oficer Mikys siedział w kancelarii i studiował plan ćwiczeń. W kącie pomieszczenia tkwił jego zastępca, oficer Szamaj, i z upodobaniem dłubał w nosie. Oficer Szamaj często w skupieniu świdrował w nosie, mówiąc przy tym: „Mamy wiele zadań”. Żołnierze rodem ze Słowacji nadali mu przydomek Czirisz. To znaczy „szewski klajster”. Oficer Szamaj denerwował się, kiedy to słyszał. Najpierw chciał zamknąć za to wszystkich słowackich żołnierzy, ale oficer Mikys wybił mu to z głowy, bo zakrawałoby to na dyskryminację ze względu na narodowość. Minister obrony wypowiedział się jasno, że na coś takiego w armii nie ma miejsca.

Oficer Mikys zwinął plan ćwiczeń w rulon i obserwował przezeń jak przez lunetę różne przedmioty w swojej kancelarii. Było to zabawne, a oficer Mikys doszedł do wniosku, że w zasadzie życie jest piękne.

W polu widzenia jego przyrządu pojawiła się mrówka, która z wolna sunęła po podłodze. Oficer przykucnął i obserwował mrówkę z odrazą. Dla mrówki nie ma miejsca w koszarach.

Nagle z korytarza dobiegł krzyk i tupot podkutych butów. W drzwiach pojawił się dyżurny kompanii. Był bez czapki, a oczy o mało nie wyskoczyły mu z orbit. Oficer Mikys uświadomił sobie, że już za późno, by udawać, iż wykonuje czynności dowódcze, i ogarnęła go złość. [...]



Kłobuk brukarza Houski

We wtorek brukarz Houska się upił. Zupełnie wyjątkowo, bo zazwyczaj – jak każdy porządny człowiek – upijał się tylko w soboty, ale w ten wtorek padał deszcz, więc nie pozostawało mu nic innego. Najpierw padało tylko trochę, potem zaczęło lać, a kiedy o wpół do dwunastej w nocy wyrzucali brukarza Houskę z gospody „Pod Królem Przemysłem”, siąpiło drobno, gęsto i uporczywie. Brukarz Houska kilka razy kopnął w opuszczoną żaluzję. W ten sposób potwierdził swoją przewagę moralną nad wszystkimi kierownikami gospód, po czym postawił kołnierza marynarki i ruszył w stronę domu. Latarnie mrugały w mokrej nocy, a z rynien, drzew i dachów ciurkała woda. Kiedy Houska wsuwał klucz w zamek w drzwiach wejściowych, zobaczył, że pod rynną leży jajo. Jajo było białe, czarno nakrapiane i błyszczało w strużce wody, która sączyła się prosto na nie. Całkiem zwyczajne jajo, z jednego końca nieco szpiczaste, trochę większe niż kurze. Brukarz Houska je podniósł i włożył do kieszeni, ponieważ – w odróżnieniu od kury – uważał, że jajo służy do jedzenia.

W domu zaklął szpetnie, bo w korytarzu boleśnie uderzył się w gołe nogi o balię, po czym położył się spać, tak jak stał, w ubraniu. Czuł, że najmniejszy wysiłek przyprawi go o wymioty.

Rano obudził się nękanym niezdolnym pragnieniem. Na prześcieradle dostrzegł kawałki białej, [...]



Ballada o Poddaszniku

Nad ranem się ochłodziło i pojawiła się rosa. Prześlizgnął się ostrożnie pod ramą otwartego okna, chrząstkowatymi ostrogami wyrastającymi ze szpiczastych pięt zaczepił się o szpary pomiędzy dachówkami i z błogim westchnieniem wystawił chude, pająkowate członki na promienie księżyca. Wyjść sobie czasem na światło księżycowe – tylko to naprawdę sprawiało mu radość. Owadów, które wpadały przez okienka w dachu, ani rosy, zlizywanej przed świtem z omszałych dachówek, nie uważał za coś, z czego można się cieszyć. Niewiele potrzebował. Ciało miał tak przystosowane do swojego trybu życia, że prawie wcale nie musiał się wysilać. Długie, cienkie i nieproporcjonalne w stosunku do tułowia nogi mogły go z łatwością przenosić z kalenicy na kalenicę i po ławach wzdłuż kominów, czepne pazury u stóp chroniły go przed poślizgnięciem, a rozłożone długie ręce zastępowały tyczkę do łapania równowagi.

Przezroczyście, wytrzeszczone ślepia więcej niż w polowie wystawały mu z oczodołów. Głowę miał stosunkowo małą. Nie była mu zbyt potrzebna. Działał bez głębokiego namysłu, niemal mechanicznie, zadowolenie dawało mu głównie to, że jest. Dnie spędzał na spaniu, zaszyty w przepastnych zakamarkach pomiędzy belkowaniem a pokryciem dachu, wiedząc, że tam nikt nie naruszy jego spokoju. Po nocach zaś, z czystej radości zażywania ruchu, przeskakiwał z dachu na dach, [...]



Kokesz

– A co jest tam dalej? – zapytał redaktor Kotlach. Zadał to pytanie raczej z rozpędu. Właściwie stracił już nadzieję. Wszystko dookoła było takie samo – mokre i miejscami pokryte pleśnią, zewsząd kapała woda.

Człowiek w czarnym gumowym płaszczu się wzdrygnął, bo ze stropu spadła mu za kołnierz kropla.

– Dalej już nie ma nic – powiedział ponuro – tylko jakieś stare piwnice. Mają je zamurować. Tam nie ma nic do oglądania.

Człowiek w gumowym płaszczu był szczurołapem. Płacili mu za to, żeby likwidował szczury, no i właśnie tym się zajmował. Dziennikarzy, którzy od czasu do czasu schodzili do kanałów, żeby o tym pisać, nie darzył zbyt dużą sympatią. W ramach podnoszenia swojego poziomu życia sprzedawał różnym instytutom naukowym złapane w kanałach szczury, a dziennikarze tylko mu je płoszyli.

Oprócz tego należy podkreślić, że za likwidowanie szczurów płaci się od sztuki, podczas gdy rozmowy z przedstawicielami prasy odbywały się w ramach wynagrodzenia podstawowego.

– Ale mogę tam zajrzeć, prawda? – naciskał redaktor Kotlach. Był gotów na różne rzeczy, jeżeli się spodziewał, że wyjdzie mu z tego felieton. Na razie podziemia wydały mu się mało atrakcyjne. Uważał za wielkie świństwo, że takie miejsca jak piwni- [...]



Viola Fischerová

O straszidłach i upiorach Karla Michala

Małego Pavla Bukse straszidla nawiedziły po raz pierwszy, kiedy miał niewiele ponad cztery lata, umiał już czytać, a mama dała mu do ręki bajki Andersena. Straszidla wzbudzały w nim lęk, wiedział, że musi je jakoś oswoić – a więc zaczął się z nimi bawić. Były okrutne, przebiegłe i zastawiały na niego przemyślnie pułapki, ale on znalazł na nie sposób: nauczył się z nich śmiać. A przede wszystkim: wyśmiewać je.

Karel Michal (bo pod takim pseudonimem później pisał) maturę zdał w 1951 roku, a więc w czasach, kiedy w Czechosłowacji panował najgorszy, stalinowski reżim komunistyczny. Nie mogło być mowy o tym, żeby zdolny chłopiec z lekarskiej rodziny dostał się na studia i zajmował się językami orientalnymi, o czym marzył. Towarzysze z komitetu osiedlowego nie wyrazili na to zgody. Buksa z powodu „wrogiego stosunku do klasy robotniczej” musiał wyuczyć się fachu ślusarza, a później jako niezrzeszony (a może właśnie dlatego) został wysłany na wielką młodzieżową budowę Huty im. Klementa Gottwalda w Ostrawie.

Tam skryty i introwertyczny młody człowiek znalazł się między młotem a kowadłem: z jednej strony czerwoni członkowie Socjalistycznego Związku Młodzieży, z drugiej męty i pijaki wszelkiej maści. Siłą rzeczy Buksa zbratał się z tymi drugimi. I właśnie tutaj zaczynają się jego absurdalne przygody ze straszidłami, jakby rodem z *Króla Ubu*.

Któregoś dnia Bukse wezwał przewodniczący zakładowej organizacji partyjnej. „Wy, towarzyszu, podobno macie maturę. No to dostaniecie zadanie. Trzeba wymierzyć fundamenty pod wielki piec”. Na próżno Buksa tłumaczył, że na maturze zdawał języki klasyczne, a o geometrii nie ma zielonego pojęcia. Odpowiedź brzmiała: „Masz maturę? Masz. A to jest polecenie partyjne”. Do wykonania zadania

przydzielono mu geodetę. Był nim, jak się okazało, kelner, który kiedyś za geodetami nosił łatę. Tak więc Buksa zapatrzył się w podręcznik geometrii dla szkół zawodowych i wymierzył fundamenty pod piec – z mniejszym błędem, niż był dopuszczalny. Miał być za to odznaczony orderem pracy, ale udało mu się zamienić medal na pozwolenie na podjęcie studiów.

Wybrał medycynę, gdyż – jak mówił – za komuny nie istnieje ani historia, ani prawo. Ale koło absurdów kręciło się dalej. Buksa studiów nie ukończył. Odszedł z uczelni po kilku semestrach, kiedy ogłoszono konkurs na kierownika Nostickiej Ujeżdżalni w Pradze. Tego kroku nigdy nie żałował, przeciwnie, dwa lata spędzone w stajniach na Małej Stranie zawsze wspominał dobrze: konie, piękne dziewczyny i życie, do którego reżim – na pozór – nie miał wstępu.

Idylla się skończyła, kiedy dostał powołanie do wojska. Żeby móc dalej zajmować się końmi, zgodził się zostać podoficerem zawodowym. Lecz władze nie dotrzymały umowy – Buksa dostał przydział do jednostki w Bratysławie na prawym brzegu Dunaju, tuż obok granicy z Węgrami. Absurdalny dramat dojrzał. Był rok 1956, na Węgrzech wybuchła rewolucja, a pluton podoficera Buksy otrzymał zadanie: doprowadzić do porządku dawną rogatkę mostową. W domku tym od lat mieszkała pewna chora psychicznie staruszka, a po drugiej stronie Dunaju były już Węgry. Podczas gdy szeregowcy łopatami wyrzucali na zewnątrz ekskrementy i gromadzone przez lata śmieci, okoliczni mieszkańcy, którzy w żołnierzach widzieli narzędzie znieprawdzonej władzy, obrzucali ich obelgami i wykrzykiwali, że już niedługo wszyscy zawisną na granicznym drucie kolczastym. Wkrótce potem z koszar uciekli wszyscy, co do jednego, świeżo upieczeni oficerowie (według socjologicznej oceny pisarza – w sześćdziesięciu procentach dawni kelnerzy i fryzjerzy), a z dowództwa w jednostce został tylko Buksa i pewien sierżant. Ich zadaniem było utrzymanie obiektu otoczonego przez bandę pijanych Romów. Absurdalnego rozkazu z ministerstwa, który brzmiał: „rozbroić się i zaatakować góry”, nie udało im się rozszyfrować, ponieważ zapodziała się gdzieś

książka kodowa. Działali więc według własnego rozumu, a zaczęli od tego, że ze wszystkiego, z czego można było strzelać, wymontowali podstawowe części.

Od wojska Pavel Buksa uwolnił się w sposób równie niestandardowy. Pewnego dnia doszło do ostrej wymiany zdań pomiędzy nim i dowódcą jednostki, po czym Buksa – mężczyzna wysoki i postawny – chwycił cherlawego pułkownika wpół, zaniósł do umywalni i wepchnął pod zimny prysznic. Taki czyn kwalifikował się jako bunt, a za to już groził obóz karny. Tym razem Pavel Buksa miał szczęście. Kiedy prokurator wojskowy zapytał, kim są jego rodzice, i usłyszał, że lekarzami, westchnął: „No to mają z was pociechę”. Ku zdziwieniu korpusu oficerskiego Buksa został skazany tylko na degradację i usunięcie z szeregów socjalistycznego wojska (czyli wreszcie osiągnął to, o co mu chodziło). Kiedy w cywilnym ubraniu, z walizką w ręku opuszczał koszary, żegnał go szpaler żołnierzy wykonujących komendę „prezentuj broń”, co było kolejnym przejawem buntu, za który jednak ich były dowódca już nie został pociągnięty do odpowiedzialności.

Po powrocie do Pragi Buksa imał się różnych zajęć. Był pomagierem na budowach, brukował ulice oraz pilnował przystani na Wełtawie. Po pracy wysiadywał po gospodach i opowiadał historyjki ze swojego życia. Wkrótce słuchy o nim dotarły do wydawnictwa Naše vojsko, które zaczęło mu zlecać recenzowanie nadesłanych rękopisów (co zwłaszcza przed pierwszym było mu bardzo na rękę). Ten układ trwał do czasu, aż Buksa napisał nieprzychylną opinię o książce pewnego zasłużonego twórcy, który odgrażał się, że złoży skargę w centralnym Komitecie partii. Wtedy koledzy z „Plamenu” (miesięcznika poświęconego współczesnej literaturze i sztuce) podsunęli Buksie pomysł, by wreszcie spisać i opublikować którąś ze swoich historyjek – wtedy recenzentem byłby już nie jakiś amator, nikomu nieznanemu brukarz, ale przynajmniej początkujący autor. W ten sposób powstał debiut literacki Karla Michala, opowiadanie *Klobuk brukarza Houski (Plivník dlaždiče Housky)*, opublikowane w 1959 roku w trzecim numerze „Plamenu” [...]



Karel Michal (Pavel Buksa)
1932–1984